

ANTYPODY 2011 – Australia cz. II

Gmach słynnej opery w Sydney - najbardziej rozpoznawalny symbol miasta.

Oczarowani pięknem przyrody opuściliśmy Kiwiland, jak nieoficjalnie nazywana jest Nowa Zelandia (szczegóły naszej wędrówki zostały przedstawione w poprzednim „EL”²) i wylądowaliśmy na australijskim kontynencie - *Terra Australis*³. Któż z miłośników literatury podróżniczej nie pamięta z młodości lat książek Alfreda Szklarskiego o przygodach Tomka Wilmowskiego, w tym przypadku o przygodach w krainie kangurów⁴. W związku z wyprawą na antypody przeczytałem ją, po wielu latach, raz jeszcze. W moim wykonaniu nie będzie to jednak korespondencja z wyprawy, podczas której niebezpieczeństwa mrozą krew w żyłach. Chociaż... na początku 2011 roku ostatnia faza przygotowań do naszej wyprawy zaczęła się podczas serii wielkich powodzi w australijskim stanie Queensland (było kilkadziesiąt ofiar śmiertelnych, strat oszacowano na ok. 10 miliardów dolarów

australijskich). W połowie stycznia 2011 roku kulminacyjna fala powodziowa zalała jeden z celów naszej wyprawy – Brisbane, trzecie pod względem wielkości miasto Australii. Kilkanaście tysięcy prywatnych domów i blisko 3 tys. firm było prawie całkowicie pod wodą. Dlatego niektórzy uczestnicy zadawali sobie pytanie, czy w tym roku jest tam po co lecieć bez pomocy humanitarnej. Ale potem... było już coraz lepiej.

Jest niedzielny poranek 13 marca 2011 roku na lotnisku w Sydney. Odprawa przylotowa, a zwłaszcza kontrola sanitarno-epidemiologiczna, jest na wyspach dość emocjonująca. Jeżeli w kontaktach celno-lotniskowych coś mnie zaskakuje, to głównie wysiłek służb celnych na rzecz ochrony rodzimej bioróżnorodności. Przy wyjeździe do Australii, podobnie jak w Nowej Zelandii, obowiązuje formalny zakaz wwożenia

jakiegokolwiek żywności, zwierząt, nasion roślin oraz konieczność zgłaszania do odprawy m.in. butów i kijów trekkingowych. Kontrola wiąże się ze skrupulatnym poszukiwaniem w bagażach żywności, a buty i kije trekkingowe są badane, czy nie ma na nich grudek ziemi, mogących zawierać np. mikroorganizmy. Pies policyjny, który „wytypował” stojącego przede mną pasażera, nie wykrył u niego narkotyków czy broni, ale jakieś owoce. Moje nie zgłoszone w formularzu buty trekkingowe (zgłosiłem tylko obuwie sportowe) zdołałem „uratować” tylko dzięki temu, że przed podróżą zostały starannie wymyte. „Problem” kontroli sanitarną na wyspach zrozumieć dopiero, gdy w australijskim interiorze nocą zobaczę kicające wszędobylskie króliki i uświadomię sobie ich rolę w przekształceniu kontynentu w pustynię. Nowozelandczycy z kolei nie mogą darować Australijczykom tego,



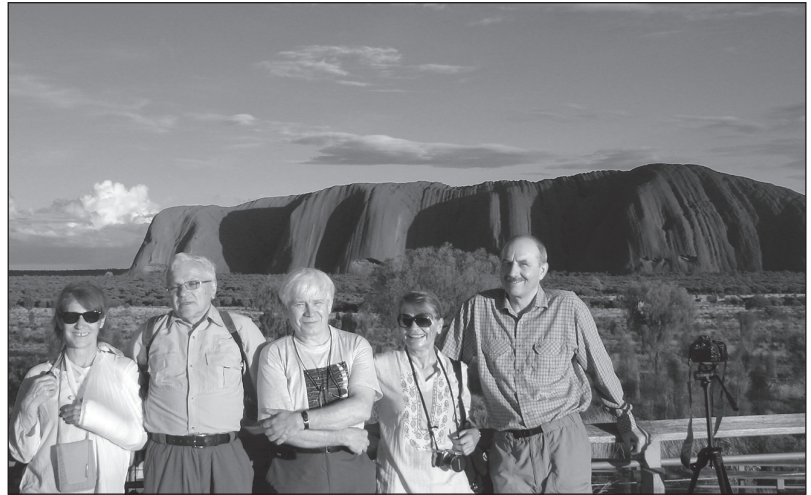
Monorail, czyli jednoszynowy pojazd, przemieszczający się po wiadukcie nad pojazdami i głowami ludzi w centrum Sydney - nie stoi na światłach ani w korkach.



Jedno z ostatnich udanych zdjęć na początku szlaku na Górę Kościuszki (jeszcze można było się uśmiechać) - warto zwrócić uwagę na pomosty chroniące powierzchnię ziemi.



Bliskie spotkanie „trzeciego stopnia” autora z kangurem w rezerwacie Lone Pine Koala Sanctuary, położonym na przedmieściach Brisbane.



Na tle Uluru, w porannym słońcu, załoga „number one” (od lewej: Zosia, Jurek, autor, Małgosia i Leszek).

że sprowadzili im na wyspy oposa, niewielkiego futrzanego gryzonia, który bardzo się rozmnożył i systematycznie zjada sporą część nowozelandzkiej roślinności.

Na zatłoczonym lotnisku w Sydney jesteśmy w porze przylotu jednego z pierwszych samolotów z Tokio - dziennikarze szukający wiadomości o sytuacji w Japonii po trzęsieniu z 11 marca 2011 r. rozpytują o pasażerów z tego lotu. Szybko opuszczamy lotnisko i bussem dojeżdżamy do nowoczesnego hostelu Sydney Harbour YHA. Fantastyczne wyposażenie, wygodne pokoje, a zwłaszcza super lokalizacja w ścisłym centrum miasta, z widokiem z tarasu na dwa symbole największego miasta Australii: słynny gmach opery i jeden z największych mostów łukowych na świecie - Sydney Harbour Bridge. Natychmiast wykupujemy karnet „4 atrakcje”. Zaczynamy od wjazdu na taras widokowy wieży Sydney Tower, skąd podziwiamy wspaniałą panoramę całego miasta, w tym ogromny port, city i największy kościół w Australii - mo-

numentalną neogotycką katedrę Najświętszej Maryi Panny. Następnie udajemy się do portu, gdzie kupujemy bilety na prom płynący do położonej nad zatoką dzielnicy Manly. Jest to atrakcyjny rejon wypoczynku turystów oraz mieszkańców miasta. Nasz program rekreacyjny to: zwiedzanie oceanarium, lekki posiłek na lunch i poobiednia kawa oraz bardzo długi spacer po miasteczku, nabrzeżu i wzdłuż plaży. Gdy wsiadamy na powrotny prom, zaczyna się już ściemniać, a gdy dopływamy do Sydney Cove - pojawia się ciekawa panorama oświetlonych wieżowców centrum biznesowego. Nasza dzisiejsza doba ma więcej niż 24 godziny, zmęczeni „ładujemy” w końcu w hostelu.

Mamy jeszcze jeden dodatkowy dzień na zwiedzanie miasta i poznawanie jego atrakcji. Najpierw akwarium i świat zwierzęcy w miejskim ZOO. Oglądamy bogactwo ryb i egzotycznych ssaków, zwłaszcza gatunków endemicznych, nie zapominając o kangurach i koalach. Warto sobie uswia-

domić, że 83% ssaków, 89% gadów, 90% ryb i 93% płazów żyjących w Australii nie występuje nigdzie indziej na Ziemi! Następnie „testujemy” jednoszynową, napowietrzną kolej śródmiejską - dobre rozwiązanie wielkomiejskich komunikacyjnych problemów. Po południu, rozproszeni w podgrupach, „zwiedzamy”, otwarty w 1932 roku, Sydney Harbour Bridge i przy okazji przepławiamy się nim do Milson - północnej dzielnicy położonej naprzeciwko Opera House. Ponieważ jest to dzielnica położona na wzniesieniu, jesteśmy uraczeni interesującymi widokami na centrum Sydney i port. Po lunchu, pokonując most w przeciwną stronę, trafiamy wprost pod gmach opery, a po jej dokładnym obejrzeniu spacerujemy jeszcze po barwnym Chinatown. To musi wystarczyć - góry czekają.

We wtorek wyznaczamy kierunek - Alpy Australijskie. Najpierw mamy w planie pokonać autostradą około 300 km do Canberra. Zmieniając początkowy plan, postanawiamy zobaczyć to miasto (w końcu to



Takich przepraw w górach MacDonnella mieliśmy kilka - wszystkie zakończone sukcesem.



Wschodnie Złote Wybrzeże Australii postanowiłem zwiedzać na rowerze - w głębi wieżowce Surfers Paradise nad Morzem Koralowym.

stolica Australii), ale kończy się jedynie na próbie! Dlaczego nasz zamiar się nie powiodł, pojąłem dopiero kilka tygodni później, czytając książkę Billa Brysona o Australii, który Canberze poświęcił obszerny rozdział⁵. W tym „sztucznym” mieście-parku, kierując się intuicją, mapą i nowoczesnym GPS, nie jest łatwo się odnaleźć. Do położonego w interesującym krajobrazie schroniska Thredbo YHA w Górach Śnieżnych, będących częścią Alp Australijskich na południu Nowej Południowej Walii, dojeżdżamy bez problemów, ale na tyle późno, że mimo dobrej pogody nie mamy już szansy na wejście na Górę Kościuszki (2228 m n.p.m.), która jest naszym kolejnym celem. Pozostaje nam więc sporo czasu na rozpakowanie się i przygotowanie do zdobywania najwyższej góry Australii w dniu następnym.

Wypoczęci, wstajemy o piątej rano, ponieważ postanowiliśmy wyjść w góry jeszcze przed wschodem słońca. Plan jest taki, aby stosunkowo szybko wejść na szczyt. Oznacza to, że początkowo wspinamy się w ciemnościach ostro w górę, wzdłuż wyciągu krzeselkowego, który ma ruszyć dopiero o godzinie dziewiątej. W ten sposób około 7³⁰ jesteśmy na stacji górnej (ok. 1930 m n.p.m.). Na tej wysokości znajduje się najwyżej położona w Australii restauracja, która oczywiście jeszcze jest zamknięta. Rozpoczynamy więc 13-kilometrowy trekking i... zaczyna kropić. Powoli chmury gęstnieją. Jesteśmy na terenie Kosciuszko National Park. Szlak jest bardzo dobrze przygotowany. Idziemy głównie po metalowych pomostach. Widoczne są działania na rzecz ochrony przyrody, chodzi m.in. o ograniczanie procesu erozji gleb i o zwalczanie rozdeptywania roślin. Okolice początkowo jest pokryta krzewami, a następnie roślinnością trawiastą, spod której wystaje coraz więcej kamieni. Niestety, deszcz się nasila, momentami wieje silny wiatr, a do tego pojawia się drobny grad. Szlakiem wędruje praktycznie tylko nasza piętnastka. Zaczynamy indywidualnie przyspieszać. Każdy ubiera się w to, co ma w plecaku, ale w większości nie jesteśmy jednak dobrze przygotowani na taką pogodę. Mnie ratuje, noszona w plecaku nawet przy słonecznej pogodzie, przeciwdeszczowa kurtka. Mt. Kosciuszko broni się dzielnie. Determinacja, aby dojść do celu, jest jednak bardzo duża. Idziemy w końcu śladami słynnego odkrywcy i naukowca, sir Pawła Edmunda Strzeleckiego, który 15 lutego 1840 roku jako pierwszy zdobył najwyższy szczyt Australii. W środę 16 marca ub.r. jestem na szczycie Góry Kościuszki.

„...myślę, że poczucie wolności jakie mam, zawdzięczam górskiemu krajobrazowi. Całe życie człowiek nie jest w stanie po szczytach chodzić, ale liitości godny jest ten, kto nigdy na szczyt nie wyszedł. I chodzi nie tylko o szczyt góry, chodzi także o szczyt swojej własnej duszy...”
ks. prof. Józef Tischner⁶



Budzący zachwyt Kings Canyon, na dnie którego można odpocząć w zielonym „Ogrodzie Edenu”.

Leje „jak z cebra” i jest przenikliwie zimno. Trudno nawet zrobić jakieś zdjęcie. Oczywiście, zasada - noś parasol przy pogodzie, nie sprawdza się z powodu wiatru. Potwierdza się natomiast zasada, że w górach liczy się nie tylko wysokość, ale również pogoda. Ostatecznie wchodzimy na „dach Australii” wszyscy, nawet Zosia, z ręką zagipsowaną po poważnej operacji, którą wykonano jej w szpitalu w Sydney (po kontuzji podczas wspinaczki na wulkan Mt. Ruapehu). Należy jednak dodać, że spośród wszystkich szczytów Korony Ziemi Góra Kościuszki jest najłatwiejsza do zdobycia. Po szybkim zejściu do górnej stacji kolejki, jej personel postanawia „ewakuować” nas do Thredbo gratisowo. Dlatego też na krzeselkach przez kilkanaście minut ociekamy spokojnie z wody, zwłaszcza że zaczyna pojawiać się słońce. W hostelu możemy jeszcze wziąć kąpiel, przebrać się i przepakować. W kierunku Sydney wyruszamy tuż przed południem, wybierając malowniczą drogę wzdłuż wschodniego wybrzeża Nowej Południowej Walii. Na lunch zatrzymujemy się nad Morzem Tasmana, które jest częścią Oceanu Spokojnego. Podczas spaceru po plaży i zwiedzania pobliskich lasów dochodzi do pierwszego, udokumen-

owanego udaną sesją zdjęciową, spotkania „face to face” z kangurami. Wieczorem zaczyna się nam trochę spieszyć, ale intensywny deszcz utrudnia szybką jazdę. Na nocleg docieramy już dość późno, pełni wrażeń.

Śpimy krótko, bo w czwartek mamy wczesny wylot do leżącego w samym centrum Australii - Ayers Rock. Udaje się pokonać poranne korki na przedmieściach Sydney i lecimy. Z samolotu widać już czerwone serce kontynentu⁷. Jesteśmy w australijskim interiorze - „the Outback”, gdzie zamierzamy „zaliczyć” jego najważniejsze przyrodnicze i aborygeńskie atrakcje. Najbardziej znana jest formacja skalna o angielskiej nazwie Ayers Rock, której Australijczycy przywrócili aborygeńską nazwę - Uluru. Znajdująca się w parku narodowym Uluru - Kata Tjuta największa święta skała Aborygenów jest co roku celem podróży dla setek tysięcy obywateli. Po wylądowaniu - szybki transfer do hostelu, ponieważ po południu udajemy się na obserwowanie, w specjalnym wyznaczonym punkcie widokowym, zmian koloru Uluru w promieniach zachodzącego Słońca. Atmosfera w pobliżu „monolitu” przypomina tę z obserwacji całkowitego zaćmienia Słońca na Węgrzech 11 sierpnia.



Przypadkowo odnalezione ślady około stu tysięcy polonii australijskiej. Wśród licznych zdjęć koali to wyróżniają szeroko otwarte oczy „misia” torbacza.

nia 1999 roku: liczni turyści, z aparatami, kamerami, a nawet krzeselkami i stolikami. Po zachodzie słońca podjeżdżamy do podnóża skały. Okazuje się, że Aborygeni Anangu proszą turystów, aby jej nie „zdo-bywać” i namawiają do rezygnacji ze wspi-naczki na skałę o wysokości 300 m, która jest dla nich miejscem świętym. Zamiast tego proponują wędrowkę wokół Uluru, szlakiem długości ok. 9 km. Ale wytarty w kamieniu szlak kusi. Niektórzy snują więc plany nocnej eskapady, inni próbują wejść na „górkę” o świcie w piątek. Kończy się to jedynie interwencją miejscowych policjan-tów. Ostatecznie dolary australijskie zostają w kieszeniach.

W piątek znowu pobudka przed świtem. Tym razem wyjeżdżamy na oglądanie Uluru o wschodzie Słońca. Ci, którzy założyli, że słońce poczeka, zadowolili się wysłuchaniem cudzych wrażeń. Po śniadaniu dalsze zwiedzanie otoczenia słynnej skały. Jej obejście zajmuje nam około dwóch godzin. Następnie jedziemy około 25 km do mniej znanej, ale bardziej rozległej i również interesującej grupy 30 skał Kata Tjuta (ang. *The Orgas* lub *Olga*). Wygląd zespołu skalnego z oddali przypomina (podobno) leżącą kobietę, a wysokość najwyższego monolitu wynosi ok.

450 m nad poziom pustyni. Tutaj także nie należy się wspinać na skały, ale są wytyczone krótsze i dłuższe trasy trekkingowe, podczas pokonywania których można napatrzeć się na czerwone prekam-bryjskie piaskowce do woli.

Kolejnym naszym celem jest Kings Canyon na terenie Watarrka National Park, położonym między Uluru a Alice Springs. Jedziemy tam w sobotę, też po wczesnej pobudce (kiedy my w końcu śpimy?), bo czeka nas pokonanie jeszcze 300 km drogi, podczas której uświadamiam sobie, co oznacza fakt, że ponad połowa mieszkańców Australii żyje w sześciu największych miastach, a zdecydowana większość ma do wybrzeża najwyżej kilkanaście kilometrów. Jako „pilot” ze zdziwieniem stwierdzam, że na całej trasie nie minęliśmy ani jednego samochodu! Na czterogodzinny trekking wzdłuż 6-kilometrowej trasy Kings Canyon Rim Walk wyruszamy jeszcze w porannym słońcu. Oglądanie przedziwnego tworu natury w jego najciekawszych punktach odbywa się już w pełnym słońcu, co jest dodatkowym utrudnieniem.

W planie mamy dojazd do Alice Spring. Do stolicy *outbacku* jest z Kings Canyon ok. 320 km drogą gruntową Red

Centre Way lub ok. 460 km przez Stuart Highway. Tutaj pojawia się dylemat, którą drogę wybrać. Pamiętając o jednej z filozoficznych podstaw do prawa Murphy’ego, że skrót jest najdłuższą drogą pomiędzy dwoma punktami, rezygnujemy z jazdy drogą terenową i ruszamy na „as-faltówkę”. Wybór jest chyba dobry, bo całą drogę przez pustynne Terytorium Północne towarzyszą nam ulewne deszcze. Dla mnie, znającego się trochę na meteorologii, to ciekawe zjawisko. Na rozległych przestrzeniach widać izolowane chmury deszczowe, z których spadają obfite strumienie wody. Już nie widzimy spękanej w słońcu ziemi. Zaczynamy obawiać się o przejezdność dróg. Wieczorem jesteśmy w Alice Spring. Zwykle oglądając mapę pogody konstatowałem - w grudniu, styczniu ponad 40 °C, brak opadów. Na ulicach spotykamy rdzennych mieszkańców Australii – Aborygenów. Mieszkańców Terytorium Północnego obowiązuje częściowa prohibicja, dlatego na wieczorne zwiedzanie „westernowego” miasteczka i szybkie zakupy wybieramy się z paszportami, które są dokładnie spisywane w ewidencji sprzedaży.

(ciąg dalszy na stronie 49)

Reportaż fotograficzny na stronach 32-33



Powyżej: W centrum australijskiego *outbacku*, stoi u podnóża słynnej aborygeńskiej skały Uluru.

Poniżej: Dochodzące do 300 m wysokości skalne ściany Kings Canyon wyglądają jak wykrojone w glinie.

Panorama pustynnego serca Australii, widziana z samolotu - bliżej widać Uluru, dalej grupę skał Kata Tjuta [fot. Monika Nastawska].

ANTYPODY 201





Wschód słońca w Górach Śnieżnych w rejonie Thredbo - podczas wędrówki na Mt. Kosciuszko.



Zanim dojechaliśmy do Uluru, zatrzymał nas widok tęczęowego łuku.

11 – Australia

Fotografie: Andrzej Kulig



Na pustynnym płaskowyżu, otaczającym Kings Canyon, samotny eukaliptus (gatunku nie podaję - w Australii jest ich ok. 600-700).

ANTYPODY 2011 – Australia

W niedzielę wybieramy się na eksplorację położonego w środku kontynentu pasma gór MacDonnella o długości ok. 500 km, których główną atrakcją są malownicze wąwozy. Można do nich dojechać asfaltową szosą, ale ich penetracja może odbywać się tylko terenowymi autami lub pieszo. Bardzo szybko przekonujemy się, że wczorajsze opady przyniosły efekt w postaci podtopionych dróg. Niektórych w niewielkim, ale innych w dość znacznym stopniu. Zdarzyło się, że parę pojazdów czekało na „pierwszego chętnego”. Tym chętnym okazał się Leszek, otwierając następnym drogę przez bród. Dzięki temu „zaliczyliśmy” wszystkie spektakularne widokowo wąwozy i *viewing points* oraz wypychanie jednego z naszych aut z brodu.

Jest poniedziałek, 21 marca 2011 r. Pora opuszczać gościnnie czerwony interior. Pokonujemy więc ponownie samochodami blisko 450 km do Uluru, aby drogą lotniczą, przez Sydney, wieczorem dotrzeć na Złote Wybrzeże - Gold Coast. Teraz będziemy trochę wypoczywać i dużo zwiedzać. W następnym dniu zajęcia w podgrupach. Ja decyduję się na wypożyczenie roweru i eksplorację raję dla surferów. Pogoda jest wymarzona. Także środę i czwartek przeznaczamy na zwiedzanie. W okolicy Surfers Paradise zajeżdżamy do górskiego ogrodu O'Reilly's z lasem deszczowym, który zwiedzamy, spacerując po wytyczonych ścieżkach na ziemi i podwieszonych w koronach drzew pomostach. Przy okazji, przypadkowo, trafiamy na *The Polish Place Mo-*

unt Tamborine, z sympatyczną i gościnną Panią Anią Sowter (<http://www.polishplace.com.au/>). W stolicy stanu Queensland - Brisbane szczególnie interesujący jest park koala.

Złotymi mimozami (*Acacia baileyana*) jesień się zaczyna... w Australii. W piątek, po 22 dniach wędrówki, po śniadaniu wyjeżdżamy na lotnisko w Brisbane, skąd lecimy do Chin. W sobotę, 26 marca 2011 roku, po 13 godzinach lotu z Hongkongu lądujemy wcześnie rano w Londynie i po krótkim oczekiwaniu przesiadamy się na samolot, który wczesnym popołudniem jest w Warszawie. Kończy się fantastyczna wyprawa. Mimo występujących początkowo niebezpiecznych zjawisk (powódź, upały, trzęsienie ziemi), udało się „ogarnąć” dość skomplikowaną logistycznie wyprawę (kilkadziesiąt tysięcy kilometrów, 10 połączeń lotniczych, zakwaterowanie, samochody...). Wszystko, łącznie z pogodą i towarzystwem, dopisało. Nowa Zelandia i Australia zaskoczyły mnie wysokim cywilizacyjnym poziomem. Egzotyka przyrody, w tym głównie przedstawicieli fauny, kontrastuje z dobrym europejskim standardem infrastruktury. I pomyśleć, że Australia zaczynała 225 lat temu jako brytyjska kolonia karna. Pozostaje miłych wspomnień czar. A do Polski wracamy z pomysłami na nowe wspaniałe podróże – małe i duże.

Andrzej KULIG

Fotografie ze zbioru
Andrzeja Kuliga
Warszawa, grudzień 2011 r.



Nie można zapomnieć o zasługach Pawła E. Strzeleckiego w badaniu Australii - piękny, monumentalny pomnik naszego rodaka w Jinabyne, u podnóża Alp Australijskich.

¹ Z tekstu piosenki „Vbieg” Budka Suflera. A. Mogielnicki (słowa), R. Lipko (muzyka).

² Kulig A. (2011): *Antypody 2011 – Nowa Zelandia*. EL nr 206-207, r. XIX, s. 28-31.

³ Lindop Ch. (2008): *Australia and New Zealand*. Oxford University Press. Hong Kong.

⁴ Szklarski A. (2010): *Tomek w krainie kangurów*. Muza S.A., Warszawa.

⁵ Bryson B. (2011): *Śniadanie z kangurami. Australijskie przygody*. Zysk i S-ka Wydawnictwo. Poznań.

⁶ Bereś W. i Więcek A. „Baron” (2008): *Tischner – życie w opowieściach* (+ film dokumentalny). Świat Książki.

⁷ Gienieczko M. (2011): *Przez czerwony kontynent*. Podróże. nr 12, s. 64-68.



Widok biznesowego centrum Sydney od strony zatoki Port Jackson - w lewej części widać Sydney Tower [fot. Monika Nastawska].